Rocznik I. Kraków 15-go marca 1909. Nr. 3.

ŚWIATŁO

czasopismo powieściowe i popularno-naukowe
wychodzi **raz** w miesiącu, około dnia 15-go.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi:
w AUSTRYI na **rok: 4** korony — **półrocznie: 2** korony. —
Do NIEMIEC na rok: **4** kor. **50** hal. — Do AMERYKI na rok: **1** dolar.

ADRES: Redakcya „ŚWIATŁA“ w Krakowie, ul. Powiśle 12.

O potrzebie pracy społecznej.

W społeczeństwie ludzkiem dokonywa się przewrót. Potrzeba być chyba ślepym i głuchym, by nie widzieć i nie rozumieć tej przemiany, jaka się dzisiaj w obecnym świecie odbywa.

Nowe prądy ogarniające ludzkość, wytwarzają po jednej stronie zamęt i zamieszanie, po drugiej budzą skrajne namiętności. O reformę i odrodzenie wołają nietylko socyaliści, ale i katolicy, którzy umieją patrzeć w przyszłość. Jeżeli tę reformę przeprowadzą ludzie wykolejeni, ludzie bez wiary, to będzie ona skrajną, wadliwą i wielce zgubną dla społeczeństwa chrześcijańskiego.

A na to się zanosi. Coraz wyraźniej występują wobec siebie dwa wrogie obozy społeczne; po jednej stonie stoją: posiadający, po drugiej wydziedziczeni. W tej walce ci drudzy, zostający pod wodzą socyalistów, nie przebierają w środkach, i nie potrzeba być prorokiem, by przewidzieć, że jeżeli tak dalej pójdzie, jak dotąd, to niema najmniejszej wątpliwości, że socyaliści złamią opór posiadających, jeżeli ci nie zgodzą się zawczasu na pewne reformy i ulepszenia w społeczeństwie.

Źle więc robią ci katolicy, którzy jak strusie chowają głowę w piasek i nie chcą widzieć niebezpieczeństwa, grożącego społeczeństwu, i ci, którzy na wzór ślimaków kryją się w swą skorupę, nie troszcząc się wcale o to, co się koło nich dzieje.

Dzisiejsze czasy *wymagają pracy od wszystkich dla dobra ogólnego.* Za mało być dziś uczciwym, pracowitym i gospodarnym dla siebie; piękne to i dobre, ale nie wystarczające na obecną chwilę. *Dziś potrzeba pracy dla społeczeństwa, dla ogółu,* trzeba katolikom *organizować się,* bo tylko w łączności siła.

«Nie każdy, który mówi: Panie — Panie, wnijdzie do Królestwa niebieskiego, ale *kto czyni* wolę Ojca mego, który jest w niebiesiech, ten wnijdzie do Królestwa niebieskiego». Tak mówi Chrystus Pan. A czynić wolę Ojca niebieskiego, to znaczy *kochać Boga i bliźnich,* i *pozbyć się sobkostwa,* samolubstwa, bo właśnie przez to sobkostwo stali się jedni zbyt bogatymi, drudzy zaś co jeść i gdzie skłonić głowy nie mają.

Wszak widzimy z Ewangelii i życia Chrystusa Pana, że Zbawiciel nasz łącząc modlitwę z pracą — *żył nie dla siebie — ale dla drugich,* dla wszystkich, miłując wszystkich bez wyjątku i dobrze im czyniąc.

Jeżeli więc chcemy być prawdziwymi uczniami i wyznawcami Chrystusa, to musimy pójść w Jego ślady i *pracować nietylko nad własnem dobrem* moralnem i materyalnem, ale i nad takiemże dobrem bliźnich naszych.

Pierwsi chrześcijanie, jak czytamy w «*Dziejach Apostolskich,* mieli jedno serce i jedną duszę» — to też nie było między nimi ani anarchistów, ani socyalistów w dzisiejszem słowa znaczeniu. Wszyscy stanowili jakby jedną rodzinę.

A dzisiaj? — jakże jest? — Dziś jest całkiem inaczej. — Dziś rzadko się trafia, aby w jednym domu cała rodzina żyła w zgodzie i jedności.

Dziś jeden dybie na zgubę drugiego; jeden pragnie oszukać drugiego, wyzyskać go i gdyby się dało, zgnieść go i zgubić, aby tylko jemu dobrze było.

Ze społeczeństwa chrześcijańskiego uleciał duch chrześcijański, dlatego źle na świecie. Trzeba tedy pozbyć się samolubstwa, trzeba nam wszystkim pracować dla drugich, trzeba wzajemnie się wspierać, radzić sobie, oświecać jeden drugiego, oraz łączyć się w stowarzyszenia katolickie, by znowu powstała jedna wielka rodzina chrześcijańska, — a wtedy ani socyaliści ani anarchiści nie rozbiją społeczeństwa chrześcijańskiego.

Ale zwlekać tu nie można, czas już największy wziąć się do pracy, bo każda chwila opóźnienia dodaje potęgi socyalistom, a nasze siły osłabia.

A więc do pracy — i jeszcze raz do pracy, której u nas tak mało jeszcze — tak mało!

Dobroczyńca ludzkości.

(Ciąg dalszy).

Olbrzymio wielkie było zadanie, powierzono ks. Mathewowi. Zupełna wstrzemięźliwość od trunków upajających! Było to żądanie, które z obyczajami irlandzkimi pozostało w rażącej sprzeczności i wydawało się niewykonalnem. Niemożliwością wydało się — tym biednym ludziom, wydanym na łup ciężkich trosk i srogich prześladowań, odebrać jedyną pociechę — chociaż pozorną — wytrącić z ich rąk kieliszek i zawołać: »Przestańcie pić!»

Sprawę utrudniały inne jeszcze względy. Oto gdyby pijaństwo ustało — wtedy tysiące osób w Irlandyi znalazłyby się bez chleba i zajęcia. Tak bowiem liczni byli w Irlandyi ci, którzy żyli z tego szkodliwego przemysłu. Samo miasto Cork liczyło ich około 5 tysięcy. A dodajmy tu jeszcze ogromne kapitały, włożone do licznych interesów gorzelnianych! Własny brat O. Mathewa był właścicielem gorzelni, a tak samo jego szwagier. I tym wszystkim miał skromny zakonnik wypowiedzieć wojnę i pokonać ich! O. Mathew szukał siły w modlitwie, podjął się pracy i przeprowadził zwycięsko tę olbrzymią walkę.

Dnia 10-go kwietnia 1838 roku odbyło się w pewnej sali szkolnej pierwsze zgromadzenie w sprawie założenia

związku wstrzemięźliwości. O. Mathew wygłosił odczyt o szkodliwości alkoholu, poczem wpisał swoje imię na pierwszem miejscu listy członków. Z obecnych na sali tylko 59 słuchaczy poszło zaraz za jego przykładem. W ręce założyciela związku wstrzemięźliwości złożyli oni następujące ślubowanie: «Przyrzekam uroczyście wstrzymywać się od wszelkich upajających napojów i swoim przykładem skłaniać innych do takiej wstrzemięźliwości».

Przyrzeczenie to obowiązywało do końca życia. Przy wpisie otrzymywał każdy członek medal, którego jedna strona nosiła powyższe ślubowania — strona zaś odwrotna przedstawiała parę małżonków, otaczających ze swojemi dziećmi ołtarz, na którym stał Baranek Boży z chorągiewką. Początek był mały — ale niebawem osiągnięto niebywałe wyniki. Sala szkolna wkrótce okazała się za szczupłą. To też dla celów stowarzyszenia nabyto inną salę, która pomieścić mogła 4 tysiące osób.

Najwybitniejsze osobistości — a zwłaszcza adwokaci — przyszły O. Mathewowi z pomocą. Prasa przytaczała w całej rozciągłości jego mowy, tak że docierały one do najodludniejszych wiosek «zielonej wyspy». Po 3 miesiącach zobowiązało się do zupełnej wstrzemięźliwości 25.000osób, po 5-ciu miesiącach liczba ich wzrosła do 131.000, a po 8-miu miesiącach do 150.000.Do Cork ciągnęła istna wędrówka ludów. Wszyscy chcieli poznać O. Mathewa, ażeby uzyskać od niego błogosławieństwo i złożyć przed nim przysięgę wstrzemięźliwości.

Pomimo jednak zwiększonej czynności, O. Mathew pozostał wiernym wszystkim swoim obowiązkom kapłańskim: ta sama była u niego gorliwość spowiednika, taż sama akuratność w wykonywaniu służby Bożej.

W grudniu 1838 roku udał się O. Mathew do Limerik. Tu w przeciągu 4-rech dni około 150 tysięcy osób złożyło ślubowanie zupełnej abstynencyi od alkoholu.

Fale ruchu abstynenckiego zataczały coraz szersze kręgi i rozeszły się wkrótce po całej Irlandyi.

W mieście Tollow przystąpiło do związku 6 tysięcy osób, w Lismore 25 tysięcy, w Ennos 30 tysięcy, w Gort 40 tysięcy osób.

W mieście Waterford przygotowały władze świeckie i duchowne wspaniałe przyjęcie apostołowi umiarkowania

i odnowicielowi Irlandyi. Wprowadzono go, jak w pochodzie tryumfalnym, do ratusza, gdzie go radośnie powitał Biskup w oczach zgromadzonego ludu. Biskup powiedział wtedy między innemi: «Nie byłbym Irlandczykiem, gdybym nie starał się użyć całego mojego wpływu do poparcia tej wielkiej sprawy. Lecz — jestem Irlandczykiem i dlatego kocham moją ojczyznę tak, jak ją kocha każdy Irlandczyk. Otóż jest to mojem najgłębszem przekonaniem, że, jak długo naród irlandzki nie stanie się bezwzględnie trzeźwym, wstrzemięźliwym i obyczajnym, tak długo nie będzie miał szczęścia i zbawienia. Nie byłbym dalej chrześcijaninem i kapłanem, gdybym nie poparł tego ruchu; nikt bowiem nie zechce twierdzić, że bez cnoty wstrzemięźliwości możliwe są doczesne i wieczne sprawy ludzkości. Wiecie wszyscy, że pijaństwo jest klątwą naszego kraju i główną przyczyną jego poniżenia. Występek pijaństwa jest potworem wielogłowym; jest ono przyczyną wielu występków i zbrodni. Pijanica bowiem jest zarazem — graczem, złym człowiekiem, złym ojcem, złym mężem, złym członkiem ludzkiego społeczeństwa.

Spójrzcie na potężny przewrót, który właśnie teraz dokonał się w kraju. Lud stał się trzeźwym i roztropnym; we wszelkich życiowych stosunkach, a więc jako ojciec, mąż, brat, syn, obywatel, okazuje się teraz Irlandczyk religijniejszym i przestrzega sumienniej przykazań Bożych. Oto błogosławieństwo umiarkowania».

W przeciągu dwóch dni wstąpiło do związku wstrzemięźliwości 80 tysięcy osób.

Do stolicy kraju, Dublina, przybył O. Mathew 20-go marca 1846 roku. Powołał go tam Arcybiskup Murray. W przeciągu dwóch dni, które spędził w Dublinie, zapisało się do związku 60 tysięcy osób, do których przyłączyło się po upływie kilku miesięcy jeszcze 72 tysiące.

Przy sposobności jednej późniejszej bytności O. Mathewa w Dublinie wyraził się ówczesny Kardynał Wisemam w następujący sposób o ruchu wstrzemięźliwości, powołanym do życia przez ks. Mathewa:

«Przed kilku stuleciami» — mówił Kardynał — «przybył ze Wschodu pielgrzym, przedstawił cierpienia chrześcijan, którzy jęczeli w jarzmie niewiernych, i błagał swoich

słuchaczy o pomoc dla uciśnionych braci; słowa jego wcisnęły się głęboko do serc wielu i ogromne rzesze bogatych i biednych wzięły krzyż z rąk jego i wyruszyły, aby uwolnić Grób święty z rąk niewiernych. Zapał i poświęcenie, z którem tyle tysięcy poszły za jego głosem, kazały przypisać pielgrzymowi Boskie posłannictwo. I rzeczywiście sprawę jego uważano za sprawę Boga samego, «Bóg tak chce!» — wołały zgromadzone tłumy.

«Równie wielkim zapałem obdarzony przeciągał przez wasz kraj pokorny sługa świętego Franciszka, głosząc wyprawę krzyżową przeciw występkowi, który niszczył wasze szczęście i dobrobyt». Temi słowy sławił Kardynał wielką pracę zakonnika, dodając w końcu, że w niedalekim już czasie cały świat wskazywać będzie na Irlandyę, jako na kraj, szczególnie szczodrze uposażony przez Boga.

W czerwcu 1840 roku liczyło stowarzyszenie O. Mathewa dwa miliony członków, a przy końcu 1844 roku złożyło w samej tylko Irlandyi przysięgę wstrzemięźliwości przeszło pół miliona osób. Brzmi to jak bajka, a przecież jest to wszystko dosłowną prawdą.

Pierwszym skutkiem poczętego przez O. Mathewa ruchu było zmiejszenie się liczby zbrodni i występków, jak to widać z następujących cyfr:

morderstw było w roku:

1838 — 247
1841 — 105

koniokradów było w roku:

1837 — 725
1841 — 257

podpaleń było w roku:

1838 — 359
1840 — 390

Ogólna ilość zbrodni w roku:

1839 — 12.049
1840 — 11.194
1841 — 9.287
1842 — 9.875
1843 — 8.620
1844 — 8.042
1845 — 7.101

Wyroków śmierci wydano w roku:

1839	—	66
1840	—	43
1841	—	40
1842	—	25
1843	—	16
1844	—	20
1845	—	13
1846	—	14.

Ks. Mathew w Szkocyi i Anglii.

Zbawcza działalność O. Mathewa objęła nietylko Irlandyę, ale przeniosła się niebawem do sąsiedniej Szkocyi i Anglii.

W roku 1842 udał się do Szkocyi, a mianowicie najpierw do Glazgowa, gdzie pijaństwo wyrządzało ogromne szkody pośród licznie tam zatrudnionych robotników irlandzkich. Tam stał się wkrótce bożyszczem robotników, którzy pod wrażeniem jego osoby ślubowali wstrzemięźliwość. W publicznym parku miejskim gromadziło się około niego 200 tysięcy zwolenników trzeźwości.

(Dokończenie nastąpi).

Opatrzność Boża.

(Przełożył z niemieckiego X. Józef Janiszewski z Seretu).

Kwiatek podlać każdy może,
Wzrost Ty tylko dajesz Boże!
I król państwa potężnego
Listka nie zrobi z — niczego!
Bóg deszcz daje, słońca blask,
Na nas zlewa zdrój Swych łask,
Bóg i kwiatki wciąż odziewa,
Ptaszka karmi, co nam śpiewa,
I zwierzynę lasów, pól:
On twój Ojciec, On twój Król!
I gdzie ludzka stąpa noga,
Tam opieka czuwa Boga!

POPIEL I PIAST.

Powieść historyczna z IX. wieku.

(Ciąg dalszy),

Po chwili w gościnnej komnacie zjawili się posłowie niemieccy. Jeden wzrostu był słusznego, brodę miał długą, prostą a czarną i czarny okrywał go strój. Na piersiach wisiał mu wielki złoty krzyż, wysadzany drogimi kamieniami. Drugi nizki, krępy a ryży, odziany był kuso, niby po rycersku: u boku miał miecz krótki i sztylet za pasem kosztownym. Oczy szaro-zielone biegały niespokojnie i ciekawie z kąta do kąta.

Wszedłszy do komnaty, oddali księciu głęboki pokłon.....

— W imię Boże witamy was, miłościwy panie.

Popiel skłonił lekko głową, lecz milczał.

— Pan nasz pokojem kazał was pozdrowić.

— Od kogo przybywacie?

— Jesteśmy sługami ojca waszej żony, a zarazem posłami potężnego Rytowera.

— I ten was z pokojem do mnie przysyła?

— Tak, miłościwy panie.

— Cha, cha, — śmiał się kneź — jedną ręką wyprawia posłów pokoju, a drugą pali i rabuje kraj... cha, cha!...

Posłowie spojrzeli po sobie.

— Pan nasz pokój wam ofiaruje.

— A któż ten pokój zamącił? Kto wdarł się do cudzej ziemi, kto wszczął bój?

— Nie my, panie.

— Więc same miecze wasze spadły na kark spokojnie pracujących kmieci naszych?

— To zapewno drobny spór waszego stryja, my nic o tem nie wiemy, a idziem z pokojem i przyjaźnią.

Kneź patrzał na nich długo, przenikliwie, potem wziął się za boki i śmiał się tak serdecznie, że aż mu łzy szły z oczu. Patrzał i śmiał się, jakby tej wesołości nigdy nie miało być końca. Nagle ustał. Ucho jego chwyciło jakiś

odgłos, jakby tętent koni. Nasłuchiwał uważnie. Tętent stawał się wyraźniejszym, a po chwili przerwało go głośne uderzenie do bramy zamkowej.

Popiel nie mógł dłużej wytrzymać, wybiegł z komnaty i spieszył ku bramie, którą już straż otwierała.

— Kto i z czem? — zawołał Popiel.

— Wilkuń, od knezia Władysława!

— Bywaj mi tu, a zaraz!

Wilkuń zeskoczył z konia i pospieszył do knezia, witając go głębokim pokłonem.

— Mów!

— Kneziowie czekają waszej miłości.

— Biją się?

Co dnia i w nocy nie wiele spoczynku, sił tylko brak, aby zdusić wroga.

— Będą, będą, — mówił kneź z pośpiechem.

— Hej Ryś, sam tu! — zawołał po chwili.

Ryś czekał już rozkazów.

— Natychmiast wysłać konnych, niech zapalają wici, a spieszą jak wiatr! Do kneziów Zboisława i Bojomira posłać z wiciami co tchu; wojewodów sprosić na zamek. Pojutrze ruszamy!

— Dobrze, miłościwy panie.

— A ty chodź, opowiedz — mówił kneź do Wilkunia — chcę wszystko wiedzieć.

Wziął go do swej komnaty, w której sypiał, postawił dzban miodu, kawał chleba i mięsa, a sam się rzucił na posłanie, pytając o bój stryjów, siły niemców i tysiączne rzeczy.

Pogadanka trwała długo. Wreszcie odesłał kneź Wilkunia na spoczynek. Samemu spać się nie chciało. Wstał i wyszedł na wały.

Zdala widniały wpośród nocy ogniste wici, a w jeziorze odbijał się wielki płomień, rozniecony na szczycie murowanej wieży, która wyglądała jak olbrzymi ołtarz w świątyni Perkuna. Płomień buchał w górę i rzucał jasność na cały podwórzec i na jezioro.

Popiel patrzał długo, a widok ten był mu przyjemny.

— Oto odpowiedź na poselstwo miru i pokoju! — rzekł sam do siebie.

Nazajutrz skoro świt widać było gromady ludu konno i pieszo zdążające do zamku. Niektórych wpuszczano na podwórzec, inni rozkładali się u stóp wałów, wojewodowie szli na naradę i po rozkazy do knezia. Wszyscy byli weseli, śpiewali pieśni wojenne, harcowali na koniach i próbowali się na pięści, jakby każdy chciał wiedzieć, ile sił ma na bój z nienawistnym wrogiem.

Kneź wydawał rozkazy, wojewodowie szli do swoich, szykowali dziesiętnie i setnie; wszędzie panował ład i posłuch był wielki. Próbowano broń, a kto jej nie miał, dostawał z zapasów książęcych. Ryś krzątał się bezustanku, tak mu było pilno iść na wojnę.

Kneź wychodził czasem na wały, patrzał na obozujących, to na ciągnące jeszcze zdala gromady i wracał do swej komnaty. Raz zawołał Rysia i coś mu cicho rozkazał. Ten skłonił głowę na znak, że rozumie, i poszedł.

Popiel niecierpliwił się, chciałby już pędzić na wroga, a czekać musiał na resztę ludu, zbierającego się z odległych stron. Chodził tedy po komnacie i popijając z dzbana, gdy cicho wsunęła się Adela. Spojrzał na nią niechętnie, bo wiedział z czem przychodzi.

Zaczęła go błagać, aby raz jeszcze dał posłuchanie posłom niemieckim. Nie odpowiedział na to nic, a ona prosiła go ze łzami, aby nie szedł na wojnę, na którą szkoda krwi ludzkiej, by jej nie opuszczał w samotnym zamku, wpośród kmieci, którzy jej nie lubią i krzywdę by mogli pod nieobecność knezia uczynić.

Popiel zacisnął usta i milczał. Adela wyszła znów z komnaty, a po chwili wprowadziła posłów, sama zaś usunęła się prędko.

Kneź stał groźny, a znać było, że gniew nim miotał.

— Miłościwy panie — odezwał się ten z czarną długą brodą — raz jeszcze niesiem ci mir, którego tak pragnie pan nasz.

— Ojciec mej żony?

— Nie. Posłujem od Rytowera i potężnego cesarza wszystkich ludów germańskich.

— I kłamstwem wdarliście się do mego dworca!

— Dostojny ojciec waszej żony nas wysłał, wiedząc, że innych posłów nie wpuścilibyście, a chciał uczynić przysługę wam i naszemu potężnemu cesarzowi.

— Czegóż wasz cesarz chce? — zapytał Popiel, biorąc się pod boki.

— Podaje wam miłościwą dłoń do wiecznej zgody i przyjaźni.

— Aby mnie jutro napaść we własnym domu.

— Nie obawiaj się tego, miłościwy panie. Cesarz nasz miru nigdy nie złamał, a na dowód swej łaski ofiaruje wam bogate dary.

Tu drugi poseł rozwinął kosztowny płaszcz szkarłatny, szyty bogato złotem, czapkę kapiącą od złota i miecz krótki, lśniący od drogich kamieni.

— To znaki królewskiej godności, które cesarz nasz daje potężnym książętom na dowód przyjaźni i opieki starszeństwa.

— Cha, cha, cha! — wybuchnął Popiel śmiechem — przyjaźń i starszeństwo, to w ustach waszych tak brzmi, jak syk gadu, zmieszany ze śpiewem słowika. Od przyjaźni zaczęliście, a kończycie na starszeństwie, sądząc, że dzikiego knezia chwyci blask tych świecideł i zaprzeda się w niewolę, da nad sobą starszeństwo wrogom.

— Nie niewolę, a przyjaźń ofiarujemy — powtarzali posłowie.

— A ja wam już dałem odpowiedź. Widzieliście w nocy płonące wici? Ich łuna doleci do waszego pana, a w ślad za nią pójdzie lud mój i ja. Potem.... Chodźcie — dodał po chwili.

Wyprowadził posłów od strony pól.

Pod wałem dziesięć pługów orało ziemię, dziesięciu ogromnych chłopów poganiało grubymi biczami ludzi, zaprzężonych do pługów. Ludzie ci byli pół nadzy, pochyleni, na plecach mieli znaki krwi.

— To wasi bracia, pojmani w ostatnim boju.

Posłowie patrzeli w milczeniu, ale widok ten przejmował ich grozą.

— Dadzą bogowie, wkrótce każdy kmieć mój tak samo będzie orał niewolnikami waszymi. Macie odpowiedź na wasze poselstwo. Powiedzcie waszemu panu, że tak płacę za

mordy i pożogi, za zburzone świątynie moich bogów, za hańbę świętych miejsc, gdzie lud spokojny czynił objaty, a dziś płaczą niewiasty zgonu ojców, mężów i braci!

Na twarzach posłów malował się przestrach; czuli, że są w rękach pana groźnego, który mógłby i na ich życie się targnąć. Pospuszczali głowy, czekając, co z nimi uczyni.

Popiel stał jeszcze chwilę, potem nic nie mówiąc, poszedł do dworca.

Lud, krzątający się po podwórcu, patrzał niechętnie na wrogich posłów, ale nikt ich nie zaczepił, bo bez rozkazu knezia nie wolno było nikomu nic uczynić. Posłowie zwrócili się ku mieszkaniu księżnej, wiedząc, że tam jedynie znajdą bezpieczne schronienie.

Reszta dnia upłynęła na zamku spokojnie. Każdy czekał w pogotowiu na hasło wojenne, a nie było nikogo, coby się na wyprawę nie cieszył. Już tak każdemu dokuczyły napady sąsiadów, że choć lud był z natury spokojny, dziś kto żył, chciał się mścić za wszystkie niedole i klęski i choćby drogo krwią okupić spokój.

Nazajutrz o świtaniu ruszono w pochód.

Kneź, otoczony przyboczną strażą, jechał na ognistym karym rumaku, a widać było, że cieszył się na wyprawę. W ręku trzymał obuszek i podrzucał go niekiedy w górę, śmiał się głośno i puszczał wodze koniowi, który rwał się naprzód.

Lud zbrojny szedł w porządku, posłuszny wojewodom, którzy z radością oglądali się na knezia. Wesołe pieśni odzywały się od czasu do czasu; zdawać się mogło, że nie na krwawy bój, lecz na zabawę spieszyły te zbrojne gromady.

Na zamku zrobiło się cicho. Księżna prawie nie wychodziła ze swych komnat, straż pilnowała wałów, dokoła było pusto, a czasem tylko który z starszych kmieci przyszedł pod bramę, chcąc się dowiedzieć, czy niema jakich wieści z pola wojny.

Tymczasem na zachodnich kresach bój zaczął się na dobre. Dzień i noc borykali się nasi z niemcami, trapieni bez ustanku, ale też dobrze odpłacając się za napaść. Popiel nie spoczywał ani chwili. Nie jadł, nie spał, sam wszędzie być musiał. Robił wycieczki, podjazdy, gromił wrogów,

rwał po kawałku mniejsze oddziały, a co dnia stawał się zacieklejszy.

Ze stryjami był w zgodzie, chociaż w gawędy się nie wdawał. Rozkazywał, a wszyscy słuchać musieli. Nie przykrzyło się też posłuszeństwo nikomu, bo wiedziano, że tu idzie o ocalenie ziemi rodzinnej od srogiego wroga.

Już bój trwał dwa tygodnie; niemcy zdawali się pomęczeni, mniej niż dawniej rzucali się na naszych, ale z pola nie ustępowali. Popiel chciał dać swoim trochę wypoczynku, aby potem z nową siłą rzucić się na wrogów i ostatecznie ich złamać. Postanowił tak, nie radząc się nikogo.

Wieczorem więc, kiedy bój ustał, zwołał do siebie stryjów i wojewodów, aby im dać rozkazy.

— Trzeba dać ludziom wytchnąć. — zaczął — broń poprawić, za parę dni wydamy bój na życie i śmierć. Tymczasem Zboisław stanie ze swoimi na przodzie i będzie się ucierał z niemcami.

Kneź Zboisław siedział pochmurny na jakimś pniu i słuchał w milczeniu. Po chwili dopiero odezwał się.

— Niech to kto inny zrobi.

Popiel spojrzał na niego groźnie.

— Raz powiedziałem.

— Ja także — odparł Zboisław. — Ludzie moi nie psy, jam nie pastuch. Nam chce się wypoczynku, jak innym.

Kneź zgrzytnął zębami. Zbliżył się do Zboisława, zaciskając pięście.

— Wraz mi pójdziesz zbierać swoich do kupy i kłaść się na czaty!

Zboisław podparł się w boki.

— Ani się ruszę.

Popiel poskoczył do niego, kipiąc gniewem, obuszek ściskał w pięści.

— Słyszałeś?!

— I powiedziałem. Nie ruszę się stąd krokiem. Równe tu wszystkim prawo, bić się i wypoczywać.

— A mnie rozkazywać.

— Póki nasza wola słuchać.

— Ha! na Perkuna! — krzyknął Popiel — zgniotę, rozedrę na kawałki, ktoby mi śmiał posłuchu odmówić; jam tu panem

— A my stryjami twoimi i starsi do rady.

Popiel chciał się rzucić na Zboisława, ale ten podniósł się szybko z siedzenia i rękę silną wysunął naprzód; a był chłop tęgi i ogromny. Popiel przy nim wydawał się jak karzeł. Stali tak groźni naprzeciw siebie chwilę, nic nie mówiąc.

— Raz jeszcze powtarzam, pójdziesz ze swoimi na czaty — zawołał kneź.

— Pójdź sam, a nie tyraj drugich, kiedyś sam leniwy, albo tchórz.

Tego było Popielowi za wiele. Rzucił się na Zboisława, jak dzik rozjuszony, ale ten go odepchnął, że aż się potoczył.

— Wiązać go, ubić, powiesić na pierwszej gałęzi! — krzyczał kneź, pieniąc się ze złości, a Zboisław tymczasem stał spokojny z założonemi rękami, patrząc na stryjów i wojewodów.

— Wylazło z barana wilczysko — odezwał się po chwili — co mnie dziś, to jutro wam zrobi. Łasił się długo, bo was potrzebował, niechno minie czas, zobaczycie, jak zęby pokaże.

— Nie potrzebował się łasić — odezwał się kneź Władysław — bo wiedział, że na wroga pójdziem wszyscy, a jemu dano jest przewodzić na wojnie.

— Cha, cha, cha! wy wierzycie temu wilkowi, wam się zdaje, że naprawdę zrzucił z siebie dziką skórę?! A dlaczegoż przedtem gryzł was jak pies, chociaż wiedział, że na wojnę pójdziecie zawsze. A potem się odmienił i w gościnę zapraszał i do serca przyciskał, choć wiedział, że i bez tego każdy ostatnią kroplą krwi będzie bronił ziemi rodzinnej?

Śmiał się dziko, jakby mu radość sprawiało, że Popiel stryjów wywiódł w pole.

Poważny kneź Władysław brwi ściągnął.

— Więc powiedz, dlaczego tak uczynił, jak powiadasz.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jerozolima i jej okolice.

Wspomnienia z polskiej pielgrzymki 1907 r.

Z Jaffy do Jerozolimy.

(Ciąg dalszy).

Gdyśmy się już miastu nieco przypatrzyli, po morskiej podróży wypoczęli i posilili w kolonii austryackiej, wybraliśmy się około południa na dworzec, skąd koleją mamy dotrzeć do naszego upragnionego celu, do Jerozolimy. Dzieli nas jeszcze od miasta świętego odległość 87 km., czyli około 12 naszych mil, przebędziemy ją w półczwartej godzinie. Dawniej trzeba było tę przestrzeń przebyć albo wozem lub na wielbłądach gościńcem, jaki prowadzi z Jaffy do Jerozolimy. Od roku 1892 kursuje kolej raz na dzień, po południu, podobno nie zawsze ma kogo przewozić. Gdyby nie liczne pielgrzymki, byłoby towarzystwo francuskie, które ją zbudowało i do którego dotąd należy, już dawno zbankrutowało. Naczelny więc zarząd kolei spoczywa w rękach europejskich, lecz dworzec, wagony, otoczenie i cały personal kolejowy, nie po europejsku, ale prawdziwie po turecku wygląda. Wszędzie brudy i nieporządki!...

Przejeżdżamy przez ławice piasczyste z widokiem na morze; następnie mijamy lasy drzew oliwnych, ogrody pomarańcz, cytryn i innych drzew owocowych, które dla Jaffy stanowią prawdziwą «kopalnię złota». Pomarańcze z marką Jaffa są bardzo cenione i poszukiwane na targach europejskich. Właścicielami jednakowoż tych ogrodów i plantacyi nie są ociężali i leniwi Turcy, ale kolonia niemiecka, założona przez sekciarzy niemieckich z Wirtenbergii, zwanych «Przyjaciółmi Jerozolimy» lub «Towarzystwem świątyni». Dobrymi są oni gospodarzami, ogrodnikami i rzemieślnikami; zakładają szkoły, budują gościńce, starają się nawet o regularne połączenie pocztowe; w ogóle uczą krajowców słowem i przykładem pracy, porządku i ochędóstwa.

Jak zauważyliśmy, ogrody i plantacye są zazwyczaj otoczone kaktusami figowymi, które dochodzą do dwóch metrów wysokości. Tworzą one ogrodzenie ochronne tak przed ludźmi jako i przed zwierzętami; są tem, czem u nas

żywopłot z cierni i głogu. Na wiosnę pokrywają się owe kaktusy ślicznem, żółtem kwieciem, które w jesieni wydaje czerwony owoc, kształtem podobny do figi, stąd pochodzi nazwa: «kaktusy figowe». Ludność uboga żywi się tym owocem Niektórym z nas zachciało się również skosztować owocu figowych kaktusów. Mieliśmy z tego powodu wesołą przygodę. Skoro bowiem pociąg w dalszej podróży na stacyi kilka minut się zatrzymał, wyszedł jeden z panów do pobliskiego żywopłotu, by zerwać kilka dojrzałych owoców kaktusowych; dał pewnej ciekawej pani do skosztowania i sam naśladował jej przykład. Lecz ciekawość została ukaraną. Nie spostrzegli, że powłoka owocowa jest pokryta delikatnem kolącem włosiem (jak oset), trzeba się przeto i z owocem «delikatnie» obchodzić, czego oni nie uczynili. Skutkiem tego osiadło na wargach, ustach, a nawet na palcach, wiele raniącego boleśnie włosia. Towarzysze podróży, będący w tym samym przedziale, uśmiechali się, nasuwało się nam bowiem mimowoli porównanie do ciekawej «Ewy» i powolnego jej «Adama», którzy spożyli owoc zakazany....

Poza ogrodami Jaffy, które miasto otaczają półmilowym pierścieniem, przejeżdżamy przez równinę Sarony, dawną krainę Filistynów. Z czasów biblijnych znaną ona była z urodzaju i pięknych kwiatów, zwłaszcza lilii, jak wspomina o tem prorok Izajasz (r. 35). Również w Pieśni nad pieśniami (r. 2, 1) «Oblubienicę» przyrównał Prorok Pański do «lilii» Sarony. Obecnie jednakowoż z dawnej ozdoby i piękności nie ma ani śladu, być może dlatego, że widzieliśmy ją po żniwach, w jesieni, kiedy i najpiękniejsze okolice tracą swą piękność. Może w czasie pory deszczowej, z wiosną, zakwitnie na nowo zielenią i kwieciem a okaże się pielgrzymowi w ozdobnej szacie oblubienicy.

W tej okolicy znajduje się szkoła rolnicza dla żydów, zwana Mikweh Israel (nadzieja Izraela). Rzecz dziwna i dla nas niezrozumiała, żeby ludność żydowska miała się zabrać do mozolnej i przykrej uprawy roli?... To chyba zwodnicza nadzieja Izraela! Tak przynajmniej nam się zdaje, gdy widzimy jak ona u nas stroni od trudnej pracy na roli.

Od czasu do czasu przesuwają się przed nami wsie arabskie. Istotnie arabskie!... Nieraz kilka kamieni — możnaby myśleć, że jakaś ruina i zgliszcza, po pożarze nieco

uporządkowane, a to ich dom mieszkalny! Często otwór w murze służy im równocześnie za okno i drzwi, o szybach ani im się nie śniło. Zdarza się nieraz, że dom zbudowany jest przy skale, która stanowi jednę lub dwie ściany mieszkania. Wygląda on zdala, jakoby był do skały przyczepiony, sprawia wrażenie naszych gniazd jaskółczych. (Mieszkają oni także w namiotach, zwłaszcza pasterze. Również budowa namiotu występuje w najprostszej formie: kilka brudnych szmat lub kozich skór, rozpiętych na kijach, oto ich namiot!)

Stajemy wreszcie na pierwszej stacyi, jest nią miasteczko Lydda, znane w Piśmie św. z pobytu św. Piotra, który w cudowny sposób uzdrowił Eneasza. Sławną jest również Lydda przez grób św. Jerzego. Według legendy urodził się on w tem miasteczku, za prześladowania okrutnego cesarza Dioklecyana poniósł śmierć męczeńską i tutaj został pogrzebanym. Już w VI. wieku znajdował się na grobie jego kościół, który po kilkakrotnem zburzeniu i odbudowywaniu należy obecnie do schizmatyckich Greków.

Następna stacya kolejowa, to Ramleh; oznacza ona w języku arabskim «piasek», gdyż coraz więcej roztacza się przed nami okolica piasczysta, skalista, dzika. Według archeologów i tradycyi jest Ramleh ową ewangieliczną Arymateą, skąd pochodził Józef i Nikodem, tajni uczniowie Zbawiciela, którzy Go z krzyża zdjęli i pogrzebali. Na miejscu ich urodzenia znajduje się kościół i klasztor OO. Franciszkanów.

Kolej, z Jaffy wychodząc, dąży w kierunku południowo-wschodnim; od Lyddy zwraca się zupełnie na południe; po godzinnej jeździe wkracza w kierunku wschodnim w pasmo gór judzkich, które nam zasłaniają Jerozolimę. Jak wąż wije się pociąg wśród gór i skał doliną i to właśnie opóźnia jego bieg, gdyż stosunkowo długo jedziemy: 3 i pół godziny na 12 mil.

W czasie jazdy wiele rzeczy nas zadziwiało; każdy wypowiadał swe zdanie i uwagi. Przedewszystkiem przyznać trzeba, że lud wschodni jest bardzo konserwatywny. Patrząc oknem z wagonu, zauważyliśmy, że przed pewną chatą woły chodzą zwolna w kółko, jakoby w kieracie. Patrzymy dokładniej, widzimy, że chodzą po słomie, po zbożu!...

Oto sposób, w jaki swe zboże młócą tamtejsi mieszkańcy! O takim sposobie młócenia zboża, co praktykowano przed tysiącami lat, wspomina Pismo św. i dodaje, żeby wtedy wołowi ust nie zawiązywać, wolno mu się nieco posilić zbożem, które młóci.

Również i inne opisy Pisma św. sprawdzają się, choć działy się w tak dalekiej przeszłości. Na rozległych polach widzimy wielbłądy, osły, stada kóz i owiec, które Pismo św. St. Testamentu tak często wspomina i według ich ilości liczy bogactwo właścicieli. Widzimy tu pasterzy z trzodami i namiotami. Mimo woli przenosi się myśl nasza w dawne wieki, w czasy patryarchalne. Abrahama i Izaaka, do ich pasterzy, którym brak miejsca dla licznych trzód; przypominają się nam synowie Jakóba, pasterze, którzy sprzedali brata swego Józefa do Egiptu;... przypomina się nam i król Prorok Dawid, który za młodu pasał trzodę ojcowską. Stosował się też Pan Jezus w swych naukach do otoczenia i pojęcia ludu, kiedy powiedział tę piękną i rzewną przypowieść o zgubionej owieczce i kiedy sam się przyrównał i nazwał «dobrym pasterzem....»

Wśród takich wspomnień i wzajemnych uwag czas prędko schodzi, mijamy wioski, skaliste, kredowe góry; to znów jedziemy nad łożyskiem wyschłego potoku lub tuż u podnóża wzgórz. Okolica wogóle dzika i samotna: tu i owdzie zwaliska jakichś gmachów, czy szczątki dawnych zamków obronnych; tam jakieś jamy i pieczary w górach a wszędzie wielki brak drzew i zieleni. Wszystko, zdaje się, nastraja nasz umysł do smutku i dumania. Groźna przepowiednia Proroka Pańskiego spełniła się: «Oto Pan rozproszy ziemię i obnaży ją, utrapi oblicze jej i rozproszy obywatele jej». (Iz. 24, 1).

Zdala widzimy w dolinie żydowską kolonię rolniczą Akir. Jest to dawne filistyńskie miasto, zwane Akkaron, które nie chciało przyjąć Arki Przymierza, gdy ją tam przenieść zamierzano. Mijamy «pieczarę» Samsona, w której sławny bohater żydowski miał czatować na Filistynów, kiedy na jego ojczyznę napadali. Zajeżdżamy wreszcie do ostatniej stacyi kolejowej przed Jerozolimą, zwanej Bittir. Roślinność tu bogatsza, bo na miejscu i w pobliżu znajduje się kilka źródeł wody. Między niemi jest podobno jedno źródło, które

nazywają «studnią Filipa», gdyż tu Filip dyakon ochrzcił podkomorzego królowej z Etyopii.

Zbliżamy się już do celu upragnionego. do Jerozolimy, Po lewej stronie toru kolejowego widać otoczone ogrodami, czyste domki kolonii niemieckiej Rephaim, po prawej znajduje się niewielki dworzec jerozolimski i miasto święte. Dziwne uczucia miotają nami, a tak wielkie, tak żywe, że dusza ich ogarnąć, serce pomieścić, ani umysł uporządkować nie potrafi. Oto zbliżamy się do kolebki naszej Wiary świętej, do miejsca, na którem dokonało się tyle cudów; gdzie niebo zostało pojednane z ziemią, Bóg — z ludźmi, gdzie, według słów Proroka, «pokój i sprawiedliwość pocałowały się»; do miejsca, gdzie Stwórca wszechrzeczy cierpiał i umarł za swe stworzenia na krzyżu!... Ze wzruszeniem powtórzyć możemy tylko słowa św. Bernarda: «Witaj pani narodów Królowo królestw, Spadkobierczyni patryarchów, Matko proroków, Nauczycielko wiary, Chwało chrześcijańskiego ludu, o ty moja Jerozolimo — witaj!...»

Przejęci tak rzewnemi uczuciami wysiadamy z pociągu i czekamy na dwa następne, które przywiozą resztę pielgrzymów. Na spotkanie nasze wyszła kolonia polska, znajdująca się w świętem mieście i kilku OO. Franciszkanów, którzy z zastępcą konsula austryackiego oczekiwali naszego przybycia. Wkrótce jesteśmy już wszyscy; ustawiamy się według pięciu grup, zostawiając pierwszeństwo w każdej grupie duchowieństwu; na czele pochodu umieszczono chorągiew, nasz sztandar religijno-narodowy «Królowej Korony Polskiej», jaki zabraliśmy z Krakowa; niesie ją wieśniak w sukmanie krakowskiej. W środku pochodu niosą na ramionach dziewczęta, ubrane w bieli, piękną statuę Niepokalanej Dziewicy, przed którą na okręcie tak gorąco się modliliśmy. Pochód rusza, a pielgrzymi śpiewają: «Serdeczna Matko, Opiekunko ludzi»... i inne pieśni pobożne. Wszyscy przejęci wdzięcznością i miłością ku Zbawcy Naszemu, mogliśmy z Psalmistą Pańskim powtórzyć: «Ucieszyłem się z tego, co mi powiedziano: pójdziemy do domu Pańskiego!»... (Ps. 121, 1).

I postępowaliśmy poważnie, uradowani, do domu, do przybytku Pańskiego, do grobu Boga — Człowieka!... Przypatrywali się nam ciekawie Turcy; zapewne dziwił ich

długi szereg pielgrzymów, którzy zazwyczaj w mniejszej ilości przybywają do miejsc świętych. Przez bramę jaffijską wstępujemy do Jerozolimy, następnie przechodzimy przez kręte i ciasne uliczki, zapełnione w dodatku różnymi towarami i wiktuałami. Szeregi żebraków wyciągają ku nam swe blaszane garnuszki, prosząc o jałmużnę, której im nie szczędzimy. Wśród odgłosu dzwonów zbliżamy się do kościoła grobu Chrystusowego, przy którym czekają na nasze przyjęcie Wielebni OO. Franciszkanie.

Z dziwnem, niewysłowionem uczuciem przestępowaliśmy progi świątyni. A któż je wypowiedzieć zdoła, gdy klęczeliśmy przy grobie Boga - Człowieka?... O wtedy już wzruszenia naszego dłużej powstrzymać nie mogliśmy: płakał nasz lud poczciwy, płakała i inteligencya, łzy ocierali i słudzy Zbawiciela. Tymczasem zakonnicy śpiewali hymn dziękczynny: *Te Deum*... na podziękowanie Panu Bogu za szczęśliwie przebytą podróż i za łaskę, że nam dozwolił stanąć na tem świętem miejscu. Jeden z Wielebnych OO. Franciszkanów przywitał nas w ojczystej mowie (jest on podobno Ślązakiem z urodzenia). Odpowiedział mu w gorących słowach nasz przewodnik, O. Janicki, dziękując za przyjęcie i ofiarowaną gościnę i zaznaczając zarazem, co nas tu, do grobu Pana Jezusa sprowadziło: miłość!... «My chcemy okazać — mówił on — że Polacy zawsze kochali Pana Jezusa, że Go kochają i że Go zawsze kochać będą!...»

Następnie opuściliśmy świątynię i udaliśmy się do przeznaczonych dla nas gospód (hospicyów). Mimo zmęczenia po kilkodniowej podróży długo myślałem wieczorem o dniu dzisiejszym. Tyle rzeczy widziałem, tak licznych doznałem uczuć i wrażeń!... Potem mimo woli stawała mi na myśli przeszłość narodu wybranego i jego stolicy, Jerozolimy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

TRZĘSIENIE ZIEMI.

Nauka określa trzęsienie ziemi jako poruszenie skorupy ziemskiej, którego przyczyna tkwi w samej ziemi. Poruszenie to może być silne, gwałtowne lub słabe i łagodne — a towarzyszą mu odgłosy, podobne do wystrzałów, wybu-

chów, do huku ścierających się olbrzymich skał, zapadających murów....

Trzęsienia ziemi przejawiają się w swych skutkach bardzo rozmaicie. Jedne zamieniają miasta i wsie w gruzy, rozdzierają ziemię, tworząc długie na mile nieraz przepaście, wypierają nawet morze daleko od brzegów, — inne zaś są tak słabe, że mogą je odczuć tylko tak zwane seismograficzne instrumenty.

Trzęsienie ziemi powstaje wskutek nacisku, uderzenia z wewnątrz o skorupę ziemską, co wprawia ją w ruch falisty. Ruch wewnętrzny płynnych, rozżarzonych mas i gazów, może powstać w mniejszej lub większej głębi, zawsze jednak prze on w górę ku ziemskiej skorupie i wywołuje uderzenia, a dalej — w pewnej odległości fale wstrząśnień. Stąd pochodzi, że podczas trzęsienia ziemi odczuwa się najpierw uderzenie, a potem wstrząśnienia. Zjawisko uderzenia z wewnątrz obejmuje pewną ściśle oznaczoną przestrzeń ziemi, która zwie się środkowym punktem trzęsienia. Niekiedy podczas trzęsienia ziemi centra przenoszą się kolejno w coraz nowe miejsca; zdarza się też, że równocześnie powstaje kilka takich punktów środkowych. W tym ostatnim wypadku nazywamy trzęsienie ziemi płaszczyznowem, ponieważ obejmuje całą mniej lub więcej rozległą płaszczyznę.

Ruch wywołany w głębi ziemi, dąży ku jej powierzchni w kształcie promieni i uderza o skorupę najpierw w miejscu położonem wprost nad punktem skąd poruszenie wyszło. Dalsze drgania nie są jednak regularne, skutkiem czego nie można oznaczyć ani czasu, ani odległości, w których pojawić się mogą, ani też twierdzić, że tam, gdzie było najsilniejsze wstrząśnienie, znajdował się też ów punkt wyjścia całego ruchu.

Dotknąwszy skorupy ziemi, podnosi on ją i zniża. W tej chwili rozbiegają się na wszystkie strony faliste kręgi, podobne do fal, gdy kamień rzucimy w wodę. Te fale trzęsień rzucają ludźmi, domami, jak fale morskie okrętem. Wynik owej pracy bywa rozmaity. Podczas trzęsienia w Lokais w roku 1893 ziemia zapadała się, gdy natomiast w Alasce wznosiła się w górę. Co do szybkości rzutów wewnętrznych stwierdzono, że dążą one ku powierzchni z szybkością mniej więcej 10 kilometrów na minutę — nie może

być mowy jednak i tutaj o jakiemś ścisłem obliczeniu. Szybkość zwiększa się, gdy ruch nie napotyka po drodze poważnych przeszkód. Zauważyć wypada przytem, że skały n. p. są o wiele lepszym jego przewodnikiem, aniżeli np. pokłady gruzu i żwiru. Stąd pochodzi, że nieraz punkty, sąsiadujące ze sobą na powierzchni ziemi, nie równocześnie ulegają wstrząśnieniu. Czasami tworzą się pośrodku sfery trzęsienia całe pasy niedotkniętego niem terenu. Są to tak zwane mosty seismiczne.

Najgwałtowniej występują tak zwane tektoniczne trzęsienia ziemi, którym wiele pasm górskich zawdzięcza swe istnienie. Rozrywają one powierzchnię ziemi, tworząc przepaście i rozpadliny z jednej, a wyniosłości z drugiej strony.

Wulkaniczne trzęsienia ziemi, towarzyszące wybuchom wulkanów, mogą być również bardzo silne, na szczęście jednak ustają szybko i obejmują niewielką stosunkowo przestrzeń.

Na pytanie, czy można zmierzyć siłę wstrząśnienia, odpowiada wiedza: tak. Skoro ziemia podniesie się na wysokość 1—2 milimetrów, to odczuwamy to wstrząśnienie w lekkim stopniu, gdy zaś dojdzie choćby tylko do 10-ciu milimetrów, rozpoczyna się dzieło zniszczenia. Silne trzęsienia podnoszą ziemię do 60-ciu milimetrów. Bywają i silniejsze jeszcze, ale tych wymierzyć już nie można, dzisiejsze bowiem aparaty ulegają zniszczeniu, gdy trzęsienie ziemi przejdzie podaną granicę 60-ciu milimetrów.

Czas trwania trzęsienia ziemi jest z reguły krótki. Silne trzęsienia trwają po kilka minut, słabe po kilka sekund. W Tokio obliczono 200 trzęsień ziemi na 118 sekund. Straszliwe trzęsienie ziemi w Kalabryi (1783) trwało niedłużej nad 2 minuty. Bywają trzęsienia, o jednem tylko pchnięciu, z reguły jednak po 1-szym rzucie następuje drugi, trzeci. Czasami okres trzęsienia przewleka się niezwykle długo. Wyraźnym tego dowodem trzęsienie ziemi w Assam, gdzie, rozpocząwszy się 12-go czerwca, trwało, występując wprawdzie w coraz większych odstępach czasu łagodniej, aż do połowy sierpnia.

Póki nauka nie zajęła się tą sprawą, wyobrażano sobie, że trzęsienie ziemi należy do bardzo rzadkich zjawisk. Badania doprowadziły jednakże do wyniku, który doszczętnie obalił owo mniemanie. Najgorliwiej zajmują się badaniem

trzęsień uczeni we Włoszech, w Japonii i w Szwajcaryi. Otóż badając ruch skorupy ziemskiej, przekonano się, że raczej zupełny jej spokój, aniżeli jej drganie — jest zjawiskiem wyjątkowem.

Trzęsienie ziemi, które nawiedziło z końcem grudnia roku zeszłego Włochy południowe, było, jak się zdaje, jednem z najstraszniejszych, jakie zapisują dzieje ludzkości. Okolice Morza Śródziemnego spustoszone zostały w podobny sposób dwukrotnie tylko w bardzo zamierzchłej przeszłości w roku 19-tym po Chrystusie i 526-tym. I wówczas zginęło za każdym razem przeszło po 100 tysięcy ludzi. Głośne trzęsienie ziemi, któremu towarzyszył wybuch Wezuwiusza, w roku 79-tym po Chrystusie i które zniszczyło Herkulaneum i Pompei, co do liczby ofiar było bardzo nieznaczne.

Trzęsienie ziemi w Neapolu w roku 1631 pochłonęło 3 tysiące ludzi; podobną liczbę zabrało trzęsienie ziemi w Jamajce 1692 roku, które zniszczyło Port Rojal. W roku 1698 katastrofa dotknęła Sycylię i zniszczyła 54 miasta, między niemi Katanię i 300 wsi i zgładziła 60 tysięcy ludzi. W roku 1724 zniszczone zostały miasta Lima i Calao wraz z 18 tysiącami ludzi. Trzęsienie w Lizbonie 1755 roku zatoczyło najszersze kręgi, bo odczute było w całej połowie Europy, Skandynawii i Anglii: uległa zniszczeniu Lizbona, zginęło 60 tysięcy ludzi. Kalabrya nawiedzona została 1783 roku, straciła wtedy liczne miasta, wsie i 30 tysięcy ludzi. W roku 1797 nawiedzone zostały Ecnaolor i Teon; zginęło ludzi 40 tysięcy.

W wieku dziewietnastym były wielkie trzęsienia ziemi: w Wenezueli 1812 roku (ofiar 20 tysięcy); na Martynice 1839 roku (ofiar 7 tysięcy); w Peru i Ecuadorze 1861 roku (ofiar 70 tysięcy); w Chios 1880 roku (ofiar trzy tysiące pięćset): na Jawie 1888 roku, z wybuchem wulkanu Krekatau (ofiar 35 tysięcy); w Ischii 1883 roku (dwa tysiące czterysta); w środkowej Japonii 1891 roku (ofiar 7 tysięcy ludzi); na północnym brzegu wyspy Nippon 1896 (ofiar 27 tysięcy)! Wiek dwudziesty rozpoczął szereg katastrof: w lutym 1902 roku na Kaukazie (ofiar 4 tysiące); w Gwatemali w kwietniu 1902 roku; wreszcie na Martynice z wybuchem wulkanu Mont Pélé 8 maja 1902 roku (ofiar 20 tysięcy).

Jak przedłużyć życie.

W francuskiem piśmie *Revue* podaje niejaki p. Finot ciekawe środki do przedłużenia życia ludzkiego. Pierwszym z nich jest — według niego — silna wola, bo dusza ma niezaprzeczony wpływ na stan ciała.

Źle więc robimy, pisze ów p. Finot, że doszedłszy do pewnego wieku, zatruwamy się sami myślą o blizkiej śmierci. Przez to tracimy wiarę w siły nasze, to też te siły opuszczają nas przedwcześnie. Pod pozorem, że starość nas przygniata, przywykamy do życia siedzącego i przestajemy się zajmować gorliwie sprawami naszemi. Skutkiem tego otwieramy powoli przystęp wszelkim chorobom do krwi oraz do tkanek cielesnych. Przedwczesna starość obejmuje wtedy panowanie nad nami.

Spróbujmy więc wmówić w siebie przekonanie, że starzy jeszcze nie jesteśmy i obudźmy w sobie silną wolę i chęć życia długo, choćby sto lat i więcej. Nie myślmy, gdy dojdziemy do 60-ciu lat życia, że to już czas spoczynku i zbliżającej się śmierci.

Nauka pokazuje, że nasz organizm cielesny może i w tych latach spełniać wszystkie czynności życiowe, jak dawniej. Jeżeli w tych latach nie dopisuje n. p. trawienie, lub inna czynność życiowa — to nie przypisujmy tego starości, bo to nie starość winna, lecz skutek nieodpowiedniego sposobu życia, i ten trzeba zmienić.

Czem jest właściwie starość? Jest to chwila w życiu ludzkiem taka, w której organizm ludzki zużył się do tego stopnia, iż dosięga granicy oznaczonej mu przez przyrodę. Granica ta — jak piszą uczeni — sięga od 150 do 200 lat, a nawet i dalej, czyli, że organizm ludzki powinien żyć 150 lub 200 lat, a nawet i dłużej. Są przecież i dziś ludzie, żyjący 80 lub 100 lat, w czem niema nic dziwnego, bo narządy oddychania, trawienia, obiegu krwi działają po 60-tym roku życia dobrze. Jeżeli zaś źle działają, nie jest to następstwem starości, lecz różnych przyczyn innych, przypadkowych. Jeżeli zatem narzędziami naszemi szafujemy rozumnie — to możemy żyć sto lat i dłużej. Tę przeto prawdę należy wpoić w siebie, a dożyjemy wieku późnego. Wiadomo przecież, że wiara uzdrawia — a wiadomo też,

że można wmówić w siebie chorobę. Nie ulega przeto wątpliwości, że chęć przedłużenia sobie życia, wystrzeganie się złych wpływów, to jest wszystkiego, co szkodzi zdrowiu, oraz nie poddawanie się czarnym myślom o rychłym końcu a nietracenie wiary w siebie — mogą przyczynić się znakomicie do przedłużenia życia ludzkiego.

Trzeba pamiętać przytem, że nadmiar jedzenia i trunków sprowadza mnóstwo chorób, które przyspieszają upadek i starość. Głód bywa mniej szkodliwy, niż nadmiar pokarmów.

W pewnej starej polskiej książce, wydanej w roku 1564 znajdujemy taką radę, pisaną przez lekarza rodziny Pileckich, spokrewnionej z Jagiellonami.

«Żołądek jest jako podskarbi wszystkiego zdrowia, a przeto mamy tego strzedz, aby mu potrzebnego pokarmu nie ujmować, a więcej też nie przepuszczać, jedno co może dobrze strawić. Albowiem ci nie masz lepszego lekarstwa, jedno miara, a wstrzymanie rozumne.

«Nie poczynać od picia, jedzenia, ani pij jednym razem wiele; zawdy nieco kwaśnego albo cierpnącego po obiedzie zjedz, a potem nie pij, albo bardzo mało. Gdy się najesz, a chcesz łatwiej strawić, wody się zimnej napij, a malućko pochodziwszy, miej pokój».

Z innych rad owego lekarza należy jeszcze tę przytoczyć: «Z pokoju (odpoczynku) nie nagle pracuj, — z pracy nie nagle odpoczywaj». — «Między innemi potrawami nic pożyteczniejszego człowiekowi nad chleb — albowiem z czystego zboża ukisiały i dobrze upieczony, — jest pokarm dobry».

Doniosły wynalazek.

Niebywała drożyzna węgla i drzewa zmusza ludzi do szukania innego — tańszego środka opałowego. Za najprzystępniejszy uznano oddawna już ropę naftową; wydobywanie jej bowiem z roku na rok wzrasta, gdy tymczasem nie zwiększa się zatrzebowanie w tym samym stosunku; ceny zatem ropy są dziś niezwykle nizkie.

Ropa — jako środek opałowy — jest już w używaniu w wielu krajach, dotychczas jednak tylko w zakładach

przemysłowych i na kolejach, nie udawało się tylko dotąd wynaleźć przyrządu, któryby umożliwiało palanie ropą pieców mieszkaniowych i kuchennych. Pisano już wprawdzie o rozmaitych wynalazkach tego rodzaju, wszystkie one atoli okazały się w praktyce mniej lub więcej nieodpowiednie lub za drogie i dlatego nieprzystępne dla szerszych mas ludności.

Dopiero najnowsze wynalazki pozwalaja przypuszczać, że nie minie lat kilka, gdy ropa wyruguje węgiel i drzewo z codziennego użytku.

Mamy tu na myśli aparat «Hermes», wynaleziony przez prof. politechniki lwowskiej inżyniera p. Romana Załozieckiego.

Aparat «Hermes» jest naczyniem, składającem się z żelaznej jednolitrowej skrzynki, opatrzonej z wierzchu w przyrząd, służący do doprowadzania powietrza do naczynia. Litr płynu spala się w ciągu jednej godziny, co wystarcza w zupełności do silnego, utrzymującego się przez czas dłuższy rozgrzania pieca i mieszkania. Przy tem wszystkiem aparat «Hermes» jest w swej budowie pojedynczy, a więc przystępny do czyszczenia i nie wymagający żadnej nauki obchodzenia się z nim. — Ropa opałowa nie jest produktem surowym, lecz preparatem wynalazku prof. Załozieckiego, jednakże bardzo tanim, bo kosztującym wraz z dostawą do domu 10 halerzy za litr. A litr ten wystarcza do ogrzania największego pieca kaflowego.

Wreszcie dla całości opisu dodać należy, że opalanie tą ropą «Hermes» wyklucza wszelką możliwość eksplozyi, nadto, że wonią swą nie zanieczyszcza mieszkania i przy spalaniu się nie wydziela na zewnątrz dymu, wewnątrz zaś kopciu.

LUDZIE NA SPRZEDAŻ.

Francuski dziennik *Matin* donosi, że w Chicago, wskutek panującej tam obecnie nędzy, robotnicy, doprowadzeni do ostateczności, sprzedają się do pracy na czas nieograniczony temu, co względnie najwyższą cenę ofiaruje. Ustawieni w długim szeregu z twarzą zamaskowaną oraz tablicą na piersiach z wypisanym porządkowym numerem i zdolnościami zawodowemi, wyczekują oni w ponurem

milczeniu na nabywcę, który choć kilka dolarów miesięcznie im ofiaruje.

Najlepszą względnie cenę na tym nowoczesnym rynku niewolniczym udało się uzyskać jakiemuś robotnikowi numer 3, którego pewien dzierżawca nabył za utrzymanie i 10 franków tygodniowo; natomiast stolarz numer 20 znalazł nabywcę wszystkiego za 15 franków bez utrzymania. Znaczna bardzo liczba znalazła nabywcę tylko za samo utrzymanie, większość zaś i na tych warunkach nawet swej siły roboczej sprzedać nie jest w stanie.

Praca kobiet w Ameryce.

Z urzędowych sprawozdań amerykańskich, dotyczących pracy kobiet, pokazuje się, że kobiety amerykańskie w wielu zawodach współzawodniczą z mężczyznami i nieraz z pomyślnym wynikiem.

Niektóre z tych zawodów są istotnie niezwykłe. Dorożkarka nie jest już w Ameryce nowością, zawodowi temu oddaje się w samym Nowym Jorku 45 kobiet. Pięć kobiet trudni się przeprowadzaniem statków przez niebezpieczne miejsca z wielką zręcznością i wprawą; 10 kobiet zajmowało stanowiska portyerów kolejowych, 32 hamulcowych, 26 zwrotniczych, 7 strażników kolejowych, 508 maszynistek w różnych fabrykach; 45 kobiet oddawało się zawodowi inżynierskiemu, 185 kowalskiemu, 8 kotlarskiemu, 6 stolarstwu okrętowemu, 11 budowało studnie, 2 pokrywały dachy. Są tu wyliczone tylko zawody niezwykłe, ogółem bowiem zarabia w Stanach Zjednoczonych własną pracą na życie około 5 milionów kobiet.

ROZMAITOŚCI.

Najzimniejsza okolica na świecie.

Najzimniejszem miejscem na ziemi, przynajmniej dotychczas znanem, jest okolica Werchojanska we wschodniej Syberyi, gdzie mróz dochodzi nieraz 68 stopni Cels., a w styczniu panują prawie ciągłe mrozy, dochodzące do 45 stopni.

Mimo to zimno nie jest tak dotkliwe, jakby się zdawać mogło z jego stopnia, ponieważ niema tam wiatru, a powietrze jest bardzo suche. Tylko na wiosnę panują wichry i straszne burze. W maju zdarzają się nieraz dnie, w których temperatura dochodzi do 30-tu stopni ciepła w nocy zaś jest mróz.

W porze letniej padają bardzo obfite deszcze, które są przyczyną wylewu rzek. Roślinność w tych okolicach jest nader nędzna, ponieważ drzewa żadne nie rosną, a są tylko łąki i pastwiska. Ludność, licząca przeszło 10 tysięcy głów, składa się z Jakutów i Lamutów i poluje na zwierzęta mające futro i na ryby, oraz zajmuje się hodowlą bydła. Nawet w porze zimowej wyprowadza się tam bydło na wolne powietrze, ale wymiona obwijają starannie, aby je uchronić od przemrożenia.

Krainą starych panien

jest Anglia. Istnieją tam hrabstwa (powiaty), w których liczba zawieranych małżeństw bywa większa, w innych znów mniejsza. W ogóle jednak w Anglii na tysiąc kobiet od 15-tu do 45-ciu lat zaledwie 468 jest zamężnych. Przyczyną tego jest znacznie większa liczba kobiet.

W Irlandyi stosunek ten jest jeszcze gorszy, bo na tysiąc kobiet przypada 351 mężczyzn. Oprócz nadwyżki kobiet istnieje inna jeszcze przyczyna tych smutnych dla panien stosunków, mianowicie emigracya młodych ludzi w wieku od 20-tu do 30-tu lat.

Kubki z lodu.

Od lata roku ubiegłego rozpoczęto w miejscowości kąpielowej Schevenigen pod Hagą (w Niemczech) podawać napoje orzeźwiające w kubkach zrobionych z lodu. Kubek w kształcie słoika ma grubości ścian trzy milimetry, ku podstawie się ona nieco zwiększa.

Kubek jest umieszczony w powłoce papierowej, która ma tę własność, że przez pół godziny zabezpiecza kubek od stopnienia i wsiąka wodę z topniejącego kubka. Koszt fabrykacyi jest bardzo mały. Trunek, podany w takich kubkach, jest przez lód chłodzony do pewnej granicy i ma dobry smak.

Po jednorazowem użyciu kubki ulegają zniszczeniu, bo się roztapiają — więc ich drugi raz użyć nie można, co ze względu na higienę jest nader ważnem.

Szczep ludzi pierwotnych,

którzy nie zetknęli się jeszcze z ludźmi białymi, odkrył niedawno podróżnik Howard na wyspie Mornington, należącej do archipelagu wysp Wellesleya w Karpentarskiej zatoce. Ta dotychczas zupełnie niemal nieznana wyspa, jest przeszło 200 kilometrów długa, natomiast w najszerszem miejscu tylko 14 kilometrów szeroka. Tryb życia jej mieszkańców jest trybem życia ludzi pierwotnych. Nie posiadają oni domów mieszkalnych, a zadowalają się tylko otoczeniem swojego legowiska płotem dla ochrony przed wiatrem. Żywią się orzechami pandanusowymi, rybami i korzonkami.

Olbrzymi meteor.

We wsi Cubilla, niedaleko Burgos, w Hiszpanii, spadł olbrzymi meteor. Mieszkańcy wsi szli właśnie do kościoła, gdy zobaczyli na niebie ogromna kulę ognistą, która spadała ze straszliwą szybkością, poczem nastąpił wybuch z długim i głośnym grzmotem. Przerażeni włościanie myśleli, że nadszedł koniec świata — i padli na

kolana. Dom, na który spadł meteor, uległ zdruzgotaniu i z dwoma sąsiednimi stanął w płomieniach. Gdy włościanie ochłonęli z przerażenia, rzucili się do gaszenia pożaru. Gruzy zburzonego domu pokryte były masą żelaza krystalicznego. Większe odłamy meteoru przesłano do muzeum w Madrycie.

Armaty naftowe.

Pisma amerykańskie donoszą, że rząd Stanów Zjednoczonych czyni doświadczenia nad armatą, poruszaną za pomocą motoru naftowego. Podobno armata ta może dawać do 500 strzałów na minutę, pocisk zaś wylatuje na odległość 3 tysięcy metrów. Motor pracuje z siłą sześciu koni i jest tak urządzony, że zawiera w osobnem okrągłem naczyniu ilość nafty, wystarczającą na przewiezienie armaty o 300 kilometrów drogi.

Zamek w powietrzu.

Pewien angielski milioner polecił zbudować dla siebie olbrzymi, na 700 stóp długi balon, który tworzyć będzie ogromny zamek powietrzny. Wnętrze balonu urządzone będzie z największym komfortem, oświetlone i opalone elektrycznie. Jadalnia pomieści 30 osób, osobne sale przeznaczone będą na sypialnie i bawialnie, w balonie podróżować będzie stale kilkadziesiąt osób. Balon ten jest już gotowy i wkrótce rozpocznie swe podróże, obecnie zamierza ów milioner zbudować nowy balon na 1000 stóp długi dla stu osób, będzie to prawdziwy olbrzym powietrzny, największy z dotychczas wybudowanych balonów.

Cichy hotel.

W Alpach ma być wybudowany nowy hotel, w którym wszystkie naczynia, garnki i talerze, mają być wyrobione z papieru, aby w restauracyi nie było słychać żadnego brzęku szkła lub porcelany. Materyał będzie tak lekki, iż talerze będzie można podnosić do ust, nie czując prawie ich wagi w ręce.

Liczenie ludności

w Chinach. Dokładnej liczby ludności „państwa niebieskiego" dotychczas nie znano. Obecnie rząd chiński podaje wynik spisu ludności i podług tego liczba mieszkańców Chin wynosi 458 milionów 214 tysięcy. Jest to prawie jedna trzecia część ludności na kuli ziemskiej. Liczba obcokrajowców wynosi blizko 70 tysięcy głów.

Dla ciekawych.

29 kobiet zasiada i głosuje we fińskim parlamencie. W Ameryce spotrzebowywa się rocznie miliard dwieście milionów funtów mąki. — Na tysiąc gazet w świecie, przypada 68 drukowanych w języku angielskim. — Ściskanie dłoni pochodzi od starych izraelitów. — W Niemczech jest 126 fabryk cykoryi. — Koleje żelazne całego świata przewożą rocznie około cztery tysiące pięćset milionów osób. — W północnej Norwegii od 21-go maja do 22 go lipca niema wcale ciemności. — Mydła używano już przed trzema tysiącami lat. — Przeciętny wiek mieszkańca Berlina wynosi 39 lat. — Przyrost ludności w Ameryce jest 100 razy większy, niż we Francyi.

80-letni starzec — kobietą.

W Manhattau w Ameryce zmarł nagle 80-letni starzec Sammy-Jones. Po śmierci przekonano się, że nie był to mężczyzna, ale kobieta. Rzekomy starzec zamieszkiwał stale w Manhattau od 18-tu lat. Nigdy nikt nie przypuszczał, że jest kobietą, Jones bowiem palił i żuł tytoń i pił, a zawsze wolał towarzystwo mężczyzn niż kobiet. Z zawodu był kucharzem.

106-letni narzeczony.

W urzędzie cywilnym w Brownylle w Ameryce zjawił się 106-letni Barnet Woliński, pochodzący z Królestwa Polskiego, a przy jego boku znajdowała się oblu-

bienica w 70-tej wiośnie życia, oboje w zamiarze połączenia się dozgonnym węzłem na trudy i niewygody tego życia. Oblubieniec nie wiedzieć już po raz który wstępuje w śluby małżeńskie i posiada w Rosyi i Ameryce około 175 potomków.

Zwaryowany królewicz.

Następca tronu serbskiego książę Jerzy kazał wyrąbać na Diongii wielki otwór w lodzie i kazał się 20-tu żołnierzom wykąpać w rzece. Żołnierze zostali już na pół zmarznięci wyciągnięci z wody. Książę bawił się tą lodową kąpielą doskonale. Wybryk ten wywołał wśród ludności wielkie oburzenie. Kilku żołnierzy zachorowało.

Z HUMORYSTYKI.

Odciął się. — Pan masz potężne uszy, no!

— Prawda? ja zawsze mówię: moje uszy i pańska głowa, to by był osioł dopiero, co się zowie!

Surdut Jasia. — Nauczyciel: Owce dają nam wełnę, z wełny wyrabia się sukno, robią ubrania; powiedz-że mi teraz, skąd pochodzi twój surdut?

Jaś:

— Ze spodni mego ojca.

Jaką śmiercią umarł? — No, niech pani już nie płacze, umarł mąż, trudno — umarł przecie śmiercią naturalną.

— Gdzie tam, było trzech doktorów.

Nie bardzo się zmartwił. — Sędzia. Za rabunek na publicznej drodze zostaliście skazani na pięć lat więzienia i utratę praw obywatelskich na trzy lata.

Zbrodniarz: To ostatnie wcale mnie nie martwi, bo ja i tak na wybory nie chodziłem. A posłem i tak by mnie nie wybrali.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyiewskiego.